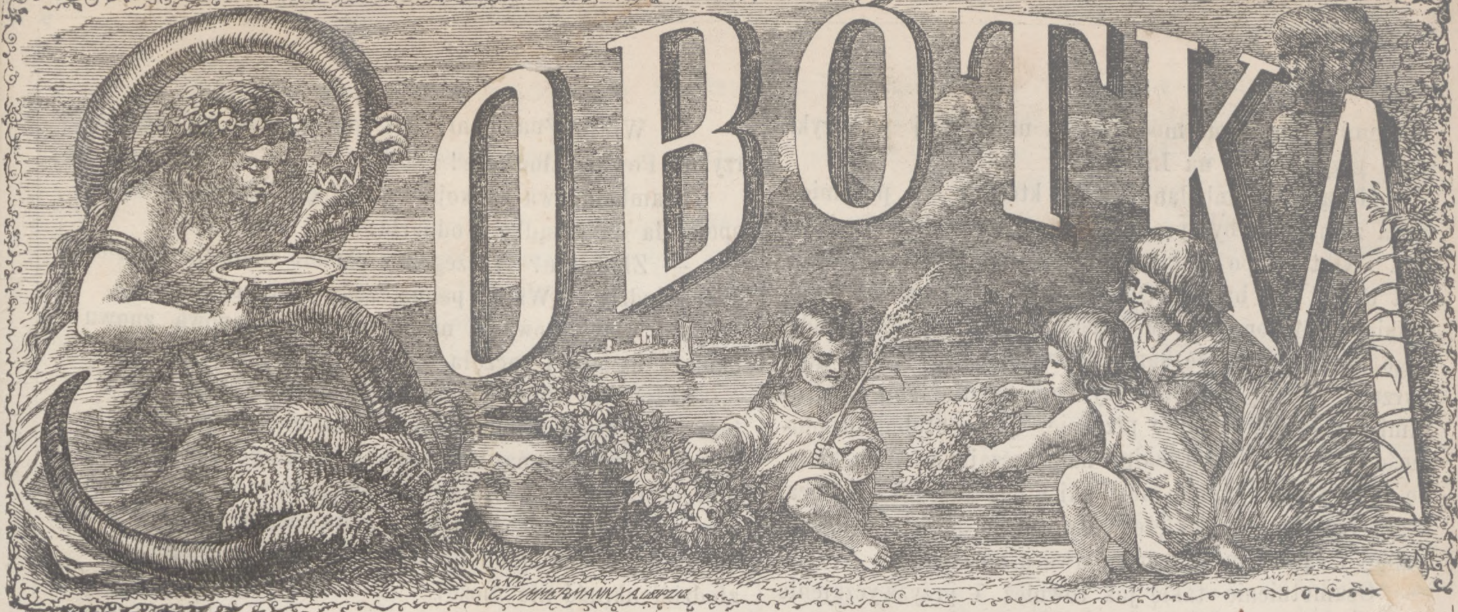


TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1 arkusz. Kwartalnie 15 sgr. w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

№ 3. Poznań, dnia 15 Stycznia 1870. Rok II.

Milion na poddaszu.

Obrazek z niedawnéj przeszłości

przez

Jana Zacharjasiewicza.

(Dalszy ciąg)

V.

Kiedy bohaterowie wyprawy po milion różnemi drogami do miasta dążyli w téj błogiéj nadziei, że żaden z nich przez drugich nie był widziany, zapadła na tajemniczém poddaszu uchwała wielkiéj wagi dla przyszłości.

Poddasze to tajemnicze nie miało nic szczególnego. Składało się z czterech małych pokoików i przybocznéj małéj kuchenki. Pierwszy pokoik służył mieszkańcom za salonik. Dla tego tylko tak go nazywamy, że nie był ani sypialnią, ani kuchnią. Sprzęty bowiem nie miały w sobie nic salonowego. Mała, wypłowiała kanapka z czerwonego merynosu, sześć krzeseł tąż samą materyą obitych, dwa stoliki, klawikord, kilka wazoników kwiatów, oto wszystko, co się tutaj mieściło. Na ścianach wisiało kilka starych obrazów, które tylko znawca specyalny mógł osądzić, czy miały jakąś wartość. Między niemi wisiało kilka małych świeżych malowideł i tuszem czarnym lub sepią robionych obrazków, które wyglądały na studya jakiegoś amatora.

Z tego pokoju wychodziły drzwi na prawo do małéj komnaty, w któréj stały dwa łóżka. Po lewéj stronie była izdebka przeznaczona jak się zdaje na garderobkę, w któréj za parawanem stało łóżko skromne, jak się zdaje, służącéj.

W pierwszym pokoiku siedziała właśnie podeszła matrona z marsową twarzą. Była to sama pani szambelanowa. Koło niéj rysowała kredką na papierze młoda osóbka, z drobnemi rysami twarzy Trzecia, podeszła kobieta siedziała pod piecem i przędła. Wrzeciono furczało w jéj wprawnych palcach a nić wysnowała się, jak cienka pajęczyna. Twarz prządki była znacznie zmarszczkami poprzecinana, w oczach jednak był jakiś wyraz młodości serca.

Pani szambelanowa czytała coś na książce. Była to kobieta podeszła, mogąca liczyć lat siedemdziesiąt. Twarz miała przedłużoną, rysy ostre. Nos długi kończasty, usta szeroko rozkrojone, brwi w złamanym łuku podniesione do góry, czyniły ją podobną do ideału szanownéj nadzorczyni więzienia.

Przy takich zewnętrznych przymiotach nie można się było dziwić, że ś. p. szambelan oderwał się jak najspieszniéj od tego więzienia doczesnego. Ci jednak, którzy szambelanową dawniéj z bliska znali, byli tego zdania, że ś. p. szambelan nie miał tak czego spieszyć się na wędrówkę zagrobową, gdyż ta była w każdym razie nie pewną a pani szambelanowa miała tyle rozsądku a nawet ujmującego obejścia się, że mógł jeszcze wygodnie ze dwadzieścia lat na tym świecie pozostać, a nawet po swojemu grzeszyć, na co rozumna małżonka była zawsze wyrozumiałą.

Długie lata wdowieństwa miały szambelanową bardzo odmienić. Zakopała się gdzieś na wsi, w głębokiéj Litwie i prawie zdziczała. Odosobnienie swoje od świata motywowała upadkiem fortuny i długami pozostałemi po mężu. Przez lat trzydzieści kilka gospodarowała sama z ekonomami i włódarzami. Żywot taki nie mógł korzystnie wpłynąć na jéj powierzchowność. Ubiór jéj przedstawiał najczęściéj dwa wieki. Były tam resztki z dawnéj elegancyi dworu Stanisława Augusta z nowo-

żytnemi wymysłami mody, która najczęściéj w karykaturze przychodziła na Litwę.

Majątek szambelanowéj, w którym się po śmierci męża zamknęła, był prawie mytem dla całego sąsiedztwa. Nikt jéj po za kopcami tego majątku nie widział, nikt u niéj nie bywał. Opowiadano najrozmaitsze o niéj baśnie. Mówiono, że w czasie wielkich upałów chodzi nago po ogrodzie, że sama krowy doi, ze stajni gnój wyrzuca, wódkę chłopom szynkuje, a długiemi wieczorami pierzę skubie albo przędzie. I te drobne wiadomości wyszły z domu jakimś nadzwyczajnym wypadkiem, bo nie było przykładu, aby jaki sługa lub jaka służąca, która raz do tego zaklętego dworu się dostała, opuściła służbę i sąsiadom tajemnicę dworu zdradziła.

Osamotnienie takie jak również i przyzwyczajenie do wydawania codziennie różnych rozkazów gospodarskich, odbiło się widocznie na jéj twarzy. Była to twarz carowa, na czole zawsze zmarszczona. W jéj spojrzeniu był rozkaz, jéj głos rozkazywał, a nawet w uśmiechu, który rzadko gościł na jéj ustach, było coś rozkazującego.

W ostatnich latach skarżąc się na długi, biedę i nędzę, sprzedała szambelanowa majątek, i skromną bryką z wnuczką swoją jedyną, któréj matka umarła a ojciec gdzieś zginął w legionach, przyjechała do Warszawy.

Tyle mniéj więcéj wiedziano o szambelanowéj. Dzisiaj w Warszawie prawie nikt jéj nie znał.

Wnuczka szambelanowéj, która w téj chwili na papierze kredą rysowała, było to dziewcze cudnéj piękności. Mogła mieć lat dziewiętnaście. Twarz miała białą, owalną. Oczy duże, czarne, patrzały na świat z jakąś ustawiczną bojaźnią, jakby przeczuwały, że ten świat nie może im dać tego wszystkiego, co tam po za niemi marząca dusza sobie roiła!... Usta różowe jak pączek nierozkwitłéj róży chciały się widocznie składać do uśmiechu, ale coś płoszyło zawsze ten uśmiech, coś mu nie dało się rozwinąć. A często zamiast uśmiechu zawitało na te młode usta coś cierpkiego, bolesnego, jakby przeczucie, że kiedyś może trzeba będzie wiele cierpieć, wiele płakać!...

Wszystkie te melancholijne oznaki przyszłych cierpień i zawodów zwyciężała młodość i zdrowie, które w całéj pełni tryskało na téj pięknéj, miałkowatéj twarzy. A twarz ta była ubrana w najpiękniejsze jasnoblond włosy, jakie tylko wówczas w całéj koronie znaleść można było. Włosy te w naturalnych kędziorkach spadały na skronie i białą szyję, i czyniły ją podobną do twarzy jednego z aniołków Rafaela, który wsparty na ramach obrazu z nieba na ziemię wygląda!...

Siedząca pod piecem prządka należała do służby i tworzyła cały dwór prawie szambelanowéj.

Taki był wewnętrzny obraz poddasza, gdy nagle usłyszała prządka jakiś szelest za drzwiami.

VI.

Szelest za drzwiami powtórzył się raz, drugi i trzeci. Przy trzecim razie najwyraźniéj ktoś macał po drzwiach. Był to właśnie podczaszyc, ktory w ciemności nie mógł się zoryentować. To już prządkę widocznie przestraszyło.

— Wielmożna pani! coś się ropocze po korytarzyku! Pewnie złodzieje!

Szambelanowa spokojnie podsunęła okulary na czoło, spojrzała na prządkę i odparła:

— Złodzieje? A czegóżby chcieli złodzieje od biednych ludzi?... Wstań panna, zaświeć i popatrz!

Po tych słowach nasunęła szambelanowa znowu okulary na nos i zaczęła daléj czytać spokojnie.

Gdyby ją w téj chwili kto widział, z jakim spokojem i rezygnacyą mniemanych złodziei albo nawet może rabusiów czekała na tém osamotnioném poddaszu, byłby przysiągł, że ta kobieta miliona mieć nie może! Tak spokojnymi mogą być tylko ludzie biedni, bardzo biedni, którym ani ogień nic spalić, ani woda zabrać, ani złodziéj ukraść nie może!

Rysująca na papierze wnuczka nie przerwała nawet swego zatrudnienia. Gdyby nawet spokój babuni był spokojem sztucznym, wyrobionym przez różne gorżkie doświadczenia życia, to spokój młodéj dziewczyny był naturalnym spokojem ludzi, którzy od złodzieja niczego nie potrzebują się obawiać.

Dopiero gdy stara prządka z kagańcem do sieni się wychyliła i znane już słowa w przestrachu wyrzekła, odłożyła babunia okulary, zamknęła książkę i wstała powoli, aby się naocznie o nieproszonych gościach przekonać.

Tymczasem upadł i rozbił się kaganiec, a drugiego prawdopodobnie na poddaszu nie było. Potrzeba było zaświecić świecą. Zrobienie światła nie było także wówczas tak łatwém jak teraz. A gdy to w końcu nastąpiło i szambelanowa z zimną odwagą drzwi na korytarz otworzyła, nie było już tam nikogo!

— Waćpannie coś się przywidziało, złota rybeńko! rzekła spokojnie szambelanowa i obeszła ze świecą korytarz. Poco by tu złodzieje przychodzili! Kilka starych gratów i kwita! Dawniéj to było inaczéj... dzisiaj zbiednieliśmy!...

Mimo tych uspakajających słów drżała prządka na całém ciele. Jasnowłosa blondyneczka odłożyła także kredkę, i zamyśliła się nad tém, po co tu mieliby przychodzić złodzieje? Czy tu jest skarb jaki?...

Szambelanowa wróciła ze świecą, ale na twarzy już nie miała téj spokojności, z jaką wychodziła. Znalazła na belkach ślady rąk wyciśnięte na odwiecznym pyle. Ślady były widocznie świeże. Niechcąc jednak trwożyć wnuczki ani staréj prządki, utrzymywała uporczywie, że nikogo tam nie było!

— Ależ wielmożna pani, mówiła prządka, widziałam ich na własne oczy! Było ich czterech, a jeden miał oczy jak cebule! Patrzał na mnie tak przeraźliwie, że mi tchu w piersi nie stało!

— Rybeńko, Elżbieto! odparła szambelanowa, na na starość przywiduje ci się i kwita!

— Na rany Chrystusa, wielmożna pani! widziałam, nieprzymierzając, jak widzę teraz wielmożną panię!...

— A jakże wyglądali ci złodzieje? zapytała wnuczka i podparła ręką głowę.

— A istne złodzieje! Złodziejskie twarze i oczy! Tak patrzeli, jakby tutaj Bóg wie co było do wzięcia!

Wnuczka uśmiechnęła się, spojrzała do zwierciadła,

które naprzeciw niéj wisiało i odgarnęła ze skroni włosy:

— Ależ opiszcie mi Elźbieto, rzekła po chwili, jako oni wyglądali?

— Ei, to nie byli zwyczajni złodzieje! prawiła Elźbieta, mieli bardzo porządne ubranie na sobie, kapelusze i płaszcze z krótkiemi kołnierzami, ze srebrnemi albo złotemi klamrami na piersiach, bo się coś mocno błyszczało!... Jeden z nich kucznął pod płatwią, drugi obok niego przycisnął się do dachu, trzeci oparł się o komin, a czwarty wyglądał z poza drzwi!...

Szambelanowa zagasiła świecę i usiadła na krześle. Wysokie jéj czoło pofałdowało się.

Siedziała tak długi czas zamyślona. Elźbieta tymczasem odmawiała pacierze, patrząc na drzwi z widoczną trwogą.

— Babuniu, ozwała się wnuczka, kreśląc bezmyślnie kredką po papierze, przecież to jest smutno, że my na całém poddaszu same mieszkamy. Jeszcze teraz pół biedy, ale tylko za kilka tygodni, gdy nadejdzie zima i długie zimowe wieczory...

— Masz słuszność Tereniu, odpowiedziała szambelanowa, właśnie nad tém myślę!

Babunia umilkła a wnuczka kreśliła daléj różne bezmyślne kreski na papierze.

Długi czas trwało milczenie. Terenia wypełniła to milczenie jakiemiś tak dziwnemi myślami, z jakich sobie sama zdać sprawy nie umiała. Myślała o złodziejach tak żywo wymalowanych przez Elźbietę, widziała ich wychodzących z ciemnego korytarzyka i wchodzących do pokoiku, kłaniając się grzecznie, ale w ich oczach było coś strasznego!...

— Otóż słuchaj Tereniu, co zrobić zamyślam, rzekła szambelanowa. Będzie to i z pożytkiem dla nas i bezpieczeństwem. To prawda, że na całém poddaszu samym kobietom nie bardzo bezpiecznie siedzieć. Gotów jaki łata myślić, że mamy skarb ukryty i nas cichaczem podusić. Wprawdzie żal by mu potém było, gdyby nic nie znalazł, ale ten żal jużby się nam na nic nie zdał! Trzeba więc zawczasu coś zrobić, aby i ludziom złym nie dać pokusy do grzechu i sobie to mizerne życie jeszcze na czas jakiś zabezpieczyć!

— Ba, ale cóż zrobić w takim razie? zapytała Terenia a serduszko jéj zapukało niespokojnie.

— Mamy jeden zbytni pokoik. Leżą tam tylko stare gazety i nic więcéj. Trzeba ten pokoik odnająć!

— Odnająć?... A komuż go odnająć? z niejakiém zadziwieniem zapytała wnuczka.

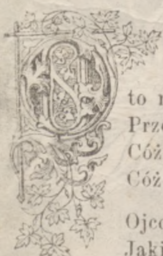
— A jużci jakiemu porządnemu lokatorowi. Byłby więc mężczyzna jeden na poddaszu a nawet i kilkanaście złotych w dodatku. Jedno i drugie dobre, bo w dzisiejszym naszym stanie na wszystko uważać trzeba.

Terenia w téj chwili myślała tylko o jednym. O drugiém wiele nie myślała, bo o tém słyszała często z ust babuni. Szambelanowa bowiem zawsze narzekała na złe czasy, na wydatki i na dzisiejsze ubóstwo swoje.

— Tak więc się zrobi Tereniu, prawiła daléj, pokoik ten z osobnym wychodem wyporządzi się zaraz dzisiaj po południu. Elźbieta każe go służącéj czysto wymieść, a ty Tereniu zajmiesz się sama, aby go jako tako urządzić. Postawi się tam sofka, co jest na strychu, tapczan, dwa krzesła i jedno zwierciadło. Jak zechcesz możesz tam także zawiesić kilka obrazków swoich, które i tak poniewierają się na strychu. Ja bym była za królem Janem III z dużemi wąsami. Patrzy on jak żywy człowiek, i zdawałoby się, że jest dwóch mężczyzn na poddaszu!

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Sen noworoczny.



Oto nowy rok zbawienia,
Przeszłość mroczna legła w grobie!
Cóż w téj chwili upojenia,
Cóż mam Polsko życzyć tobie?

Ojcowizno moja biedna!
Jakim będę ci wróżbitą?
Ty jak łazarz stoisz jedna,
W pośród ludów — z łzą ukrytą!

W koło tłumy rojne, gwarne,
Potok życzeń świat zalewa!
A nad tobą chmury czarne —
Kruk posępną pieśń rozwiewa!

Widzę mordy i pożogi,
Wśród nich dzikie jakieś twarze;
Widzę jako kraj mój drogi,
Krwią rumiany w tym pożarze!

Coraz w duszy mroczniéj, smętniéj,
Aż i dłoń na sercu kładnę: —
Czy tam jeszcze życie tętni?
Bo na zewnątrz nim nie władnę..

Zapatrzony w te obrazy,
Co się krwią rysują w oku:
Pytam, dziecię ty bez skazy!
Co nam niesiesz Nowy Roku?

Jakie rzucisz w pierś nasiona? —
Co rozsieje dłoń twa święta?
Czy odrywać będziesz z łona?
Biednych matek — niemowlęta?

Czy twém hasłem miłość będzie?
Czy rozświecisz promień wiary?
Czy na tronie twym zasiędzie
Bóg? — czy straszne bogi — cary?

Patrzę, patrzę, nadaremnie,
Co też rządy twoje poczną?
Lecz gdzie przedrzeć ducha ciemnię,
Gdy samemu w duszy mroczno!

Zakrzewo, 1. I. 70. Wł. B.

Córka Jaira.

(Z ryciną.)

Rycina umieszczona w niniejszym numerze Sobótki przedstawia nam zajmującą a razem rozrzewniającą scenę, kiedy Jezus przywołał do życia młodą a nadobną córkę Jaira, jednego z kapłanów żydowskich. Pismo święte opowiada nam, że Jair, strapiony wielce śmiercią swéj córki, która całe jego szczęście stanowiła, udał się do Jezusa, którego cudotwórczość wówczas coraz większego nabierała rozgłosu po ziemi judzkiéj, by s ukać u Niego pomocy i pociechy. Jezus przeprawiał się właśnie prz-z jezioro galilejskie śród gwałtownéj burzy i zaledwie wyszedł z przestraszonymi uczniami swoimi na brzeg z łodzi, gdy zbliżył się doń stroskany kapłan z prośbą.

Rycina przedstawia nam chwilę, gdy Jezus wstąpił do domu Jaira, ujął za rękę córkę jego i mocą swoją przywołał ją do życia. Dziewczynka, o któréj już wszyscy domownicy zwątpili i mieli ją za umarłą, przybrana w całun śmiertelny, z plecianką z myrty zielonéj na głowie, podnosi się zdumiona, jak gdyby z snu letargicznego, nie pojmując wcale, co się z nią stało. Na jéj twarzy i w jéj oczach



Wskrzeszenie córki Jaira.

maluje się spokój anielski, podczas gdy jéj rodzice stoją przy jéj głowach z wielkiém zadziwieniem. Stroskany przed chwilą ojciec pochyla głowę i patrzy z pewném niedowierzaniem na podnoszącą się córkę, a matka pada na kolana i wyciągając ku Jezusowi ręce, zdaje się Mu pokornie dziękować za to, że odwrócił od jéj macierzyńskiego serca ból nieutulony. Po lewéj stronie Jezusa stoją z założonemi rękami trzéj uczniowie, których Jezus zabrał z sobą, Piotr, Jakub i Jan, — wszyscy trzéj spoglądający z zadziwieniem wielkiém na cud nowy, którego dokonał w ich oczach ich Nauczyciel. W dali zaś widać odchodzących płaczków, którym się Jezus z umysłu kazał oddalić, a którzy obyczajem wschodnim zbiegali się i za sowitą opłatą zawodzili płacze i żale nad ofiarą, którą śmierć wydarła z łona rodziny.

X.

Dobrzyński w Poznaniu.

(Wspomnienie przez M. A. S.)

Jeżeli czém zmarły przed laty piętnastu Elsner pochlubić się może, to liczném gronem uczniów, których imię w ojczyźnie i u obcych mniéj lub więcéj głośném się stało Wymienimy tu tylko Stefaniego, Nideckiego, Orłowskiego. Nowakowskiego, Fontanę, Każyńskiego, Krogulskiego i innych, nad którymi przecież górują Chopin i Dobrzyński. Nie dorósł wprawdzie ostatni wielkości pierwszego, bo nie dorównywał mu potęgą geniuszu, nie posiadał twórczéj jego siły; ale że imię jego w dziejach muzyki nie tylko u nas, ale i u obcych chlubnie wspominaném bywało, i jeszcze się z czcią i szacunkiem wspomina, nie od rzeczy będzie rzucić tę wiązankę wspomnień na świeży jeszcze grób męża, który z zapałem poświęciwszy się sztuce, zostawił po sobie szereg dzieł nieprzemiennéj wartości. Autór tego szkicu w korzystném znajduje się tutaj położeniu; nie tylko bowiem znał zmarłego bliżéj, ale nawet szczycił się jego przyjaźnią i większą część poniżéj podanych dat życia z własnego jego znając opowiadania, chętnie się niemi dzieli z czytelnikami Sobótki.

Ignacy Feliks Dobrzyński urodził się w roku 1807 w Romanowie, miasteczku położoném na Wołyniu w dobrach senatora Ilińskiego, u którego ojciec jego, Ignacy Dobrzyński, biegły skrzypek i autor wielu utworów muzycznych pozostałych w rękopisie, sprawował obowiązek kapelmistrza i dyrektora opery włoskiéj.

Senator Iliński, magnat posiadający majątek ogromny i obszar dóbr, jakim niejedno książątko niemieckie poszczycić się nie może, był jednym z tych rzadkich przykładów namiętnego i bezwzględnego zamiłowania sztuki. Włości jego przy lichéj administracyi przynosiły mu przeszło 2,000,000 złotych polskich dochodu. Z tych łożył rok rocznie 500,000 na utrzymanie opery włoskiéj, baletu i wybornéj orkiestry. Sama ostatnia kosztowała go 25000 talarów rocznie. Lecz dochody, lubo tak ogromne przebrać się nareszcie musiały, skoro niemi nie zarządzała oszczędność i pamięć na własną przyszłość, lecz rozrzutność, chociaż szlachetną podsycana namiętnością. Iliński zubożał i skończył życie podobno na łasce u dzieci.

Z tego widzimy, iż już sam zbieg okoliczności i otaczające młodego Feliksa stósunki silną do rozwinięcia tlącego w nim już od dzieciństwa talentu musiały być podnietą. Arcydzieła włoskiéj muzyki, wzorowe utwory szkoły niemieckiéj, egzekucye symfonii, kwintetów i kwartetów mistrzów niemieckich na dworze Romanowskim wtajemniczyły go w niepożyte piękności muzyki i nauczyły go już za młodu dążyć do celu wyższego. Najulubieńszą zabawą Feliksa, jako chłopczyka, było przechadzać się między rozstawionemi pulpitami, przyp trywać i cieszyć się rozmaitym instrumentom i silić na wydobywanie z nich rozlicznych tonów i dźwięków. Taki objaw wrodzonéj skłonności i prawdziwego powołania nie mógł ujść baczności ojca, który ile na to stósunki zezwalały, chciał wszelkich na wychowanie utalentowanego dziecięcia dołożyć starań. Oddał go przeto do szkół Jezuickich w Romanowie, sam go ucząc muzyki, mianowicie gry na fortepianie, i wkrótce w ostatniéj do takiéj go doprowadził biegłości, iż Feliks jako dziewięcioletni chłopczyk uchodzące podówczas za trudne koncerta i sola Dusseka z łatwością wykonywał. Nie należy tu jednak przepomnieć, jak dalece go od sztuki zrażała mechaniczna jéj strona. Pochodziło to z naturalnego obrzydzenia i wrodzonego wstrętu do wszystkiego, co li tylko techniką i mechanicznością trąciło, a nie budziło żywszego i trwalszego zajęcia duchowego. Tu zapewne szukać należy powodu, dla czego Dobrzyński lubo dość biegle grał na fortepianie i poszukiwanym był późniéj metrem muzyki w Warszawie, na tym instrumencie do wirtuoztwa nie doprowadził.

Ukończywszy lat dziewięć, udał się nasz Feliks do sławnych naówczas w owych stronach a po gimnazyum Krzemienieckiém najsłynniejszych szkół Winnickich, którym to zakładem zawiadował wtedy uczony ekspijar Maciejowski, i tu położył fundament owego wielostronnego i harmonijnego wykształcenia, tak rzadkiego przecież u artystów, będących najczęściéj po za dziedziną sztuki zupełnie surowymi. Po ukończeniu studyów gimnazyalnych miał początkowo zamiar udać się na uniwersytet wileński, celem poświęcenia się naukom prawniczym lub lekarskim. Nie myślał atoli bynajmniéj przeniewierzyć się ulubionéj muzyce, któréj dozgonną był ślubował wierność i bez któréj już teraz żyć nie mógł. Do obrania takiego z swém powołaniem na pozór sprzecznego zawodu spowodowała go jedynie ta myśl, by stać się jak najrychléj pomocnym rodzeństwu, jako też wywiązać się drogiemu ojcu z długu wdzięczności. Tymczasem opatrzność inaczéj rozrządziła. Chciała go ocalić dla muzyki, ażeby poświęciwszy się jéj z całym zapałem i całą duszą krzewił w dziedzinie sztuki sławę polskiego imienia. Ignacy Dobrzyński (ojciec) zapadł w ciężką niemoc, co na syna zlało cały ciężar obowiązków ojca familii i zniewoliło go oddać się całkiém muzyce. Choroba kochanego ojca była uporczywą i opierała się przez lat cztery wszelkim staraniom i zabiegom lekarzy. Dopiero po upływie tego czasu (1825), gdy ojciec zupełnie zdrowie odzyskał, mógł nasz Feliks uskutecznić powzięty od dawna zamiar udania się do Warszawy, rozumiejąc, iż w stolicy téj znajdzie i silniejszą zachętę i łatwiejsze środki wykształcenia się jak najzupełniejszego w swym zawodzie. Tym końcem zgłosił się do rządu z prosbą o wsparcie i wyznaczenie jakiego funduszu, któryby mu podał sposobność do wyjazdu za granicę, zgłębienia pod okiem jakiego mistrza całego systemu kompozycyi muzycznéj, tudzież przekonania się naocznie, na jakim stopniu u obcych muzyka zostaje. Lecz mimo jawnych a nawet świetnych dowodów niezaprzeczonéj zdolności (bo już wtedy kilka sztuk był ułożył), mimo kilkakrotnie ponawianych prośb, zgłaszań i nalegań, mimo silnéj nawet protekcyi, nie przychylono się do gorących jego życzeń. Nie pozostało mu przeto nic więcéj, jak pozostać w Warszawie i korzystać z nadarzającéj mu się w miejscu sposobności głębszego obznajomienia się z teoryą muzyki. Poznawszy niebawem Elsnera, który był dyrektorem istniejącego jeszcze podówczas, a w r. 1832 zniesionego konserwatoryum muzyki, chodził doń wraz z Chopinem na lekcye teoretyczne jeneralbasu kontrapunktu i kompozycyi. U tego nie wziął więcéj, jak sam uroczyście zaręczał, jak trzydzieści i sześć lekcyi, reszty się mozolnie z książek i dzieł o tém traktujących douczywszy. Nie był przeto uczniem konserwatoryum, jak to przed trzydziestu laty mylnie były rozgłosiły dzienniki, mianowicie niemieckie. Rzecz zaiste godna zastanowienia! Bo kto słyszał utwory orkiestrowe Dobrzyńskiego, kto miał sposobność przekonać się, jak dokładna w nich się przebija znajomość wszelkich tajemnic kompozycyi, kolorytu instrumentów, fugi, kontrapunktu, figuracyi itd. znajomość, mówię, któréj tylko nieznużoną cierpliwością, długoletnią pracą, i to tylko za poręką i pod nadzorem biegłego nauczyciela nabyć można; temu zaiste prócz talentu Dobrzyńskiego podziwiać przyjdzie energią i moc charakteru, która bez obcéj pomocy, jedynie siłą woli w krótkim czasie tyle dla innego niepokonanych trudności przełamać umiała. Ażeby w części przynajmniéj udowodnić, jak dalece ogołoconym był Dobrzyński z wszelkiéj w swych studyach pomocy, przytoczymy tu jeden szczegół, który zapewne stanie za wiele. — Będąc pozbawiony sposobności poznania celniejszych utworów zagranicznych mistrzów, upraszał kilkakrotnie dyrekcyą teatrów warszawskich

o pozyczanie partycyi, lecz nadaremnie. Powodem odmówienia była w części niechęć, koteryjna nienawiść i nie przynosząca chluby naszym rodakom nieuczynność, w części barbarzyńska zazdrość i gburowata nieżyczliwość Moskali, chcąca wszystko w narodzie przytłumić, pognębić, zbezwładnić co się tylko wychyla po nad zwyczajny poziom mierności.

Napomknęliśmy wyżéj, iż Dobrzyński pobierał wraz z Chopinem lekcye kompozycyi muzycznéj. Wspólność dążeń i studyów zamieniła się w zażyłość i skojarzyła obu młodzieńców nierozerwanym węzłem przyjaźni, która tylko korzystnie wpłynąć mogła na rozwój tlejących w obudwóch znamienitych zdolności. Musiała ona koniecznie wywołać zobopólne zwierzanie się z swych myśli, wzajemne zasięganie rady porozumiewanie się względem zadania i celu jaki sobie wytknęli. I w istocie, kto słyszał niezrównane i pełne świeżości mazurki i noturna Chopina, ten w kompozycyach Dobrzyńskiego zobaczy ich odblask. Nie nazywamy przeto Dobrzyńskiego naśladowcą Chopina. Jest to, że tak powiemy apryoryczne powinowactwo duszy, które tylko w pełność pożycia i dążeń wyrobiła i uwydatniła. W utworach Dobrzyńskiego nie ma ani jednéj myśli, ktraby była żywcem zdjęta lub naśladowana z Chopina.

Szczególniejszy pociąg czuł w sobie Dobrzyński już od dzieciństwa do kompozycyi instrumentalnéj i orkiestrowéj. Już jako chłopczyk układał partycye, idąc w tém za przykładem ojca, którego widział często zatrudnionego kompozycyą. Nie dziw przeto, iż wszystkie swe starania i zabiegi skierował ku temu, by ocucić i podnieść w kraju zamiłowanie muzyki instrumentalnéj, a szczególnie orkiestrowéj. Nie ma też instrumentu, na którymby nie był napisał jakiegoś sola.

Pierwszym dla Dobrzyńskiego powodem do wystąpienia w obszerniejszych szrankach i z większém dziełem orkiestrowém był ogłoszony w Wiedniu 1834 konkurs na najlepszą symfonią z nagrodą 150 tal. Sędziów było siedmiu; nadesłanych z całéj niemal Europy dzieł pięćdziesiąt i trzy. I nasz Dobrzyński posłał był za namową Elsnera swoją już od lat kilku ukończoną symfonią C-mol.

Ale i ten konkurs dowodnie i jak na dłoni wykazał, jak mylném może być zdanie i wyrok zbiorowych areopagów, choćby złożonych z najpoważniejszyzh sędziów. Pierwszeństwo przyznano symfonii Lachnera, (dyr. muz. w Monachium), a o Dobrzyńskiego utworze, jako po niéj najlepszém, chlubną tylko uczyniono wzmiankę. Lecz gdy ciekawa tego okrzyczanego cudu publiczność usłyszała uwieńczone Lachnera dzieło, wykonane w Lipsku, Dreznie i Monachium, nastąpiło powszechne rozczarowanie; bo pomieniona symfonia nie zalecając się bynajmniéj bogactwem i świeżością motywów, nuży rozwlekłością. Natomiast jednozgodnie się za symfonią Dobrzyńskiego oświadczono. Być może, że owa sielska prostota, nie uganiająca się za nowością wrażeń, owa powściągliwość i umiarkowanie przebijające się w zakroju całego dzieła a mianowicie rodzimość melodyi, tak wydatna mianowicie w Scherzo i Finale spowodowała szanownych skąd inąd sędziów do tak grubéj pomyłki.

My słyszeliśmy ją tu całą pod dyrekcyą samego kompozytora, w Poznaniu w roku 1845, dokąd był zawitał, i cieszymy się, iż w niéj zyskała literatura muzyczna dzieło w którém tętni życie narodowe, dzieło doskonałe pod względem faktury i przeprowadzenia tematu.

Dobrzyński był w krótkich odstępach dwa razy w Poznaniu. Koncertów, na którym same tylko własne wykonywał dzieła, dał dwa: pierwszy w sali bazarowéj, drugi w gmachu teatralnym. Przybywszy do Poznania, niezwłocznie udał się do domu Antoniego Wojkowskiego, wydawcy Tygodnika literackiego i wielkiego muzyki wielbiciela a nawet nieposledniego i utalentowanego kompozytora. Dom Wojkowskich, już od dawna stanowił w Poznaniu jedno z głównych przybytków sztuki i ognisk muzycznych. Co niedzielę wykonywane kwartety, tria i kwintety, nawet oktety, tudzież serdeczna gościnność i uprzejmość gospodarza gromadziły koło niego wszystko to, co oddychało muzyką i dla niéj żyło. Żaden z przejezdnych artystów, bądź rodaków, bądź cudzoziemców, nie pominął gościnnych progów tego domu. U Wojkowskiego i przez Wojkowskiego poznał Dobrzyński wszystkich celniejszych artystów i lubowników muzyki naszego grodu, przez niego doznał znacznych ulg i ułatwień w przyprowadzeniu do skutku swych koncertów. Tam go i autor niniejszego szkicu poznał, pokochał i cenić nauczył. (Dal. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

(Katarzyna z Potockich Kossakowska, kasztelanowa kamieńska). Zacna ta matrona polska, nazwana przez Kitowicza wielka mądrochą, słynęła swego czasu nie tylko z cnót, bezinteresownego poświęcenia się dla kraju, ale i z wykwintnego, czasami sarkastycznego dowcipu. Po ostatnim rozbiorze kraju przebywała kasztelanowa kamieńska w swoich dobrach w Galicyi. Zdarzyło się razu pewnego, że jakiś wędrowny obdartus przyszedł do niéj po wsparcie i zaczął łamanym językiem z czeska zachwalać swoje zdolności do wszystkiego. Kasztelanowa wysłuchawszy go, zapytała: „Zkądże waść jesteś i jak się nazywasz?“ — „Z Czech jestem, nazywam się Nagi,“ odpowiedział zniemczony Czech, ciesząc się w duszy, że umiał swą osobą zainteresować, — „Nie turbuj się, odrzekła na to kasztelanowa, „choceś nagi, prędko u nas w pierzę porośniesz.“

Inną razą, jadąc poczwórną landarą z nowo przez rząd austryacki kreowanym gubernatorem Brigido, spotkała obdartego Niemca. „Stój!“ krzyknie na stangreta kasztelanowa — a do hajduka: „otwieraj i spuść stopnie.“ Zapytuje ją Brigido, co zamyśla robić? — „Zaproszę tego szanownego pana do karety, odpowiedziała, bo kto wie, czém on jutro będzie, wypada zawczasu skarbić sobie jego w względy.“ Docinek ten czuł Brigido i ledwo uprosił kasztelanowéj, że obdartusa zbyła jałmużną.

Wiele jéj dowcipów było powszechnie znanych, powtarzano je sobie mianowicie dla tego, że najwięcéj były wymierzone przeciw dokuczliwym austryackim urzędnikom, panoszącym się nadzwyczaj prędko w Baehrenlandzie, jak pospolicie Galicyą nazywali. Nic to jednak nie przeszkadzało, że jak z początku była w wielkich łaskach u cesarzowéj Maryi Teresy, która ją zrobiła damą krzyża gwiaździstego, tak następnie doznawała tych samych względów u cesarza Józefa II. Monarcha ten podczas bytności dwukrotnéj w Galicyi, obydwa razy zaszczycił ją swoją wizytą, a kiedy po kilkunastoletniém niewidzeniu znalazł ją zgarbioną i z tego powodu wyraził swoje ubolewanie, odrzekła mu, że od częstego kłaniania się lada urzędnikowi musiała się tak zgarbić. Cesarz rozśmiał się i przykazał gubernatorom, aby obchodzili się z nią jak najdelikatniéj.

(Qui pro quo). Pewna dama w Paryżu ma manią kojarzenia małżeństw. Mąż jéj wcale z tego nie kontent, wolałby, żeby więcéj dbała o dom i gospodarstwo Razu jednego, kiedy jéj właśnie nie było w domu, znajduje on na jéj biorku niezapieczętowany jeszcze list, zaadresowany do jednéj młodéj panienki. W liście tym podane były nazwisko, stan majątkowy i stanowisko jednego „przystojnego młodzieńca“, który to przymiot potwierdzić miała załączona fotografia Malkontent małżonek wyjmuje fotografią rekomendowanego młodzieńca i wsuwa na jéj miejsce fotografią orangutana, którą nabył właśnie w zoologicznym ogrodzie. Kilka dni późniéj, żona z tryumfującą miną, pokazuje mężowi świeżo otrzymany bilecik, wołając: „Patrz, jaka ze mnie doskonała swatka!“ Treść bileciku była następująca: „Serdecznie dziękuję Pani za nadesłaną mi fotografią i informacye tyczące oryginału. Młody człowiek wprawdzie nie jest piękny, nie mówię jednak „nie“, ma on w sobie coś bardzo dystyngowanego.“

Pierwsze przedstawienie teatralne
Sceny Polskiéj
w Poznaniu, dnia 13 stycznia.

— W zeszły czwartek tj. dnia 13 bm. przy licznym współudziale tak miejscowéj jak i okolicznéj publiczności, odbyło się w teatrze miejskim pierwsze przedstawienie trupy artystów polskich pod dyrekcyą pp. Lecha Nowakowskiego i Miłosza Sztengla. Widowisko rozpoczęło się prologiem pióra Władysława Bełzy, wygłoszonym w gronie całego towarzystwa przez znamienitą artystkę panią Nowakowską. Na scenie, ustawione były trzy pomniki; — środkowy wyobrażał ołtarz ofiarny grecki, na którym w oświetleniu jaśniał herb miasta Poznania, na dwóch drugich wypisane były imiona najznakomitszych pisarzów i artystów dramatycznych. Popiersia p. Bogusławskiego i Kraszewskiego przyozdabiały scenę, stósownie do uroczystości pierwszego wystąpienia przybranéj. Oto prolog, o którym wspomnieliśmy wyżéj.

I oto nowa świątynia przymierza.
I oto nowy stanął ołtarz wam!
Serce radością tajoną uderza
Czoło się chyli u progów jéj bram!

Cześć tym, co kamień złożyli węgielny,
Cześć tym, co pierwsi wchodzą za ten próg!
Dzień ten niech będzie rozgłośny, weselny,
Niech zacnym trudom błogosławi Bóg!

Niech ta świątynia nie szału przybytkiem,
Lecz gwiazdą będzie, co ma błędnych wieść.
Niechaj kapłani jej służą z pożytkiem
Ojczystéj mowy niechaj krzewią cześć!

Niech ona będzie jak cichy zakątek,
Z którego płynie szmer proroczych słów...
Skarbnicą świętą rodzinnych pamiątek,
Na światło dzienne wydobytych znów!

I niechaj nikt się tutaj wejść nie waży,
Kto na dnie serca kryje ziemski brud,
Z śmiechem kłamanym na skrzywionéj twarzy! —
Tu poświęcenie ma ołtarz i trud!

(wskazując ku pomnikom)

Wy, których blaskiem jaśnieją imiona,
A czoła lauru przystraja wam kwiat,
Roztoczcie ku nam ojcowskie ramiona
I w ideałów prowadźcie nas świat!

Wiedźcie nas, wiedźcie w te kraje zaklęte.
Wiara tli w sercach a więc starczy sił.
Uczcie nas kochać, co zacne, co święte,
I przed czém naród w prochy czołem bił.

Wasze imiona — to dla nas przykłady,
Tylko dróg waszych straciliśmy nić.
Wskażcie nam męże, jak iść w wasze ślady,
Jak nam pracować, jak cierpieć i żyć.

(postępując na proscenium)

Do was się zwracam, ziomkowie kochani,
I w téj świątyni bratnio witam was.
Opiece waszéj oddaję — wybrani
I te ołtarze i sztukę i nas!

Gorącém serca ożywcie nas tchnieniem,
Budźcie dla sztuki szacunek i cześć:
Tylko narodu podparci ramieniem,
Pochodnię światła będziem mogli nieść!

Gdy ostatnie słowa prologu napisanego pięknym, pełnym uczucia wierszem młodego poety ucichły, grzmot oklasków odbił się o salę teatralną, przywołano artystów, — zapał był ogólny! Bo też rzeczywiście, rzadko nam zdarzyło się słyszeć tak piękną deklamacyę, widzieć tak klasyczne ruchy, giesta, — jakiemi w całém znaczeniu tego wyrazu władać umie pani Nowakowska. Tunika grecka, która zdobiła artystkę, zupełnie się nadawała do poważnego nastroju prologu.

Nastąpiła potém, nigdy się nie starzejąca komedya Al. hr. Fredry: „Zemsta za mur graniczny." Sztuka to trudna, a do obsadzenia jéj potrzeba wyborowych artystów. Całość jednak wyszła znamienicie, co przynosi zaszczyt dyrekcyi, która w tak krótkim czasie, zdołała zgromadzić koło siebie zastęp wyborowych artystów. I tak, pan Kaliciński typową postać cześnika Raptusiewicza oddał z całą prawdą i przejęciem się charakteru; i nie dziw — wszakżeć to ucześ. p. Jana N. Nowakowskiego, który w rolach tego rodzaju był nieporównanym. Panią Bolechowską wdzięk niewieści, swoboda gry i naturalna prostota, zdobiły w prześlicznéj roli Klary. Pan Zboiński wybornym był Milczkiem, jak również p. Tkaczopolski doskonałym Wacławem. Panna Górecka, jak z gry jéj wnosić można, jest w pełni rutynowaną artystkę, pojmującą doskonale rzecz swoją, czego aż nadto chlubne złożyła dowody w roli Podstoliny. Nie wspominamy tu o pp. Nowakowskim i Hennigu, talent ich znany i uznany został, — powiemy tylko, że jak pierwszy wybornym humorem odegrał rolę Papkina, tak drugi doskonale odtworzył nieocenioną a tyle wesołości wywołującą postać Dyndalskiego. W ogóle całe przedstawienie nosiło na sobie cechę sumiennéj pracy i niepomiernych starań, które publiczność nasza sowicie wynagradzała rzęsistemi oklaskami.

Program przedstawień teatralnych na tydzień następny.

W poniedziałek dnia 17 bm. Poczwarka, komedya w pięciu aktach.

We wtorek dnia 18 bm. Lektorka, dramat w 2 aktach i Okrężne.

We czwartek dnia 20 bm. Równy wojewodzie, dramat J. I. Kraszewskiego.

W sobotę dnia 22 bm. Podlotek komedya w 4 aktach Urbańskiego.

Winniśmy tu donieść, że dyrekcya sceny polskiéj otrzymała pozwolenie tylko na czterorazowe przedstawienia tygodniowo, z których dwa tj. każdego poniedziałku i czwartku mieć będą miejsce w teatrze miejskim, a dwa następne tj. wtorkowe i sobotnie w teatrze letnim.

*

Kalendarz historyczny polski.

Dnia 15 stycznia: r. 1582 Pokój z Moskwą na lat 10 w Chiwerowéj Horce. — roku 1616 Pokój z Moskwą w Dywelinie. —

Dnia 16 stycznia: r. 1133 Najazd Czechów na Szląsk. — roku 1649 Jan Kazimierz wjeżdża do Krakowa na koronacyą. — r. 1698 August II przybywa do Krakowa. — r. 1733 August II ostatni raz wyjeżdża z Drezna do Polski. —

Dnia 17 stycznia: r. 1649 Koronacya Jana Kazimierza. — r. 1664 Wojska polskie wkraczają w granice Moskwy. — r. 1732 Urodzenie Stanisława Poniatowskiego. — r. 1734 Koronacya Augusta III.

Dnia 18 stycznia: r. 1509 Zawarty pokój w Moskwie. — roku 1576 Stronnicy Maksymiliana Austryackiego zapraszają go na tron polski.

Dnia 19 stycznia: r. 1608 Smierć Bernarda Maciejowskiego, kardynała. — r. 1789 Zwinięcie rady nieustającéj. — r. 1831 Chłopicki złożony z dyktatury.

Dnia 20 stycznia: r. 1319 Koronacya Władysława Łokietka. — r. 1507 Uroczysty wjazd Zygmunta I do Krakowa — r. 1831 Obywatele Litwy i Rusi podają adres do sejmu — 1831 Radziwiłł naczelnym wodzem.

Dnia 21 stycznia. r. 1504 Ogłoszenie statutu Aleksandra. — r. 1559 Zbiór dysydentów w Sycyminie. — r. 1633 Hołd kurfirszta brandenburskiego.

Szarada.

Pierwsze jest rzeką w dalekiéj krainie;
Drugie ptak — w nocy po powietrzu płynie.
Wszystko zaś zwykle mamy nad głowami
Kiedy jesteśmy pomiędzy murami.

Zagadka.

Nazwisko sławnego dziś inżyniera zawierające 7 liter, które tworzą z rzędu pierwsze litery nazwisk następujących sławnych ludzi: 1) filozofa, 2) ministra, 3) kaznodziei, 4) poety, 5) fabrykanta, 6) skrzypka, 7) malarza. — Filozof jest chlubą Wielkopolski, minister sławny z czasów Krystyny, kaznodzieja miał przydomek Złotoustego, poeta umarł w Paryżu, fabrykantowi zawdzięczamy boskie tony bardzo rozpowszechnionego instrumentu, skrzypek na jednéj strunie wygrał karnawał wenecki, jedno z arcydzieł malarza podziwialiśmy na wystawie obrazów w Poznaniu.

(Rozwiązanie Zadania konikowego w nr. 2: „Uczciwa praca, człowieka zdobi i zbogaca.")

(Rozwiązanie szarady w nr. 2: ***Kordelas.***)

Do niniejszego numeru Sobótki załączamy, Spis rzeczy zawartych w pierwszym roczniku Sobótki.

Korespondencya Redakcyi.

Panu H. w Nekli: Prześlemy. — Pana Wich. w Wrocławiu: Prosimy o adres. — Panu N. N. w Poznaniu: Żałujemy, że spóźnione. — Autora „Wycieczki po narzeczoną" z Berlina pana D., prosimy o dokładny adres dla bliższego porozumienia się, na którem nam wiele zależy. — O dokładny adres prosimy także p. Szczygła z Wrocławia.